



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: GWIAZDY NA STO I PIĘĆDZIESIĄT PROCENT

Przez nasze ekrany żeglują sobie z wakacyjnym wiatrem francuska komedia Claude Zidi „Dubler”, a w niej Jean Paul Belmondo i jego amerykańska partnerka Raquel Welch. Właściwie to film nazywa się „L’animal” - „Zwierzę”, ale nasi dystrybutorzy wyszli zapewne z założenia, że zwierzęta nie są dla Polaków specjalną atrakcją, zwierzęta mamy i na pastwiskach i w ogrodach zoologicznych, natomiast dublerów w polskim filmie brakuje. No, i - co tu ukrywać - Belmondo w tym filmie kolejny raz dubluje... samego siebie.

Chociaż nie: w żadnym jeszcze filmie nie występował, jako fałszywy goryl, a tutaj sięgnął między innymi i po takie „wcielenie”. Mój Boże, gdzie się podziały te lata, kiedy Jean Paul umierał z żalnym grymasem na ustach w godardowskim „Do utraty tchu” albo smęcił się u boku Jeanem Moreau w „Moderato cantabile”?

Lecz może dopiero w komediach de Broki i im podobnych - gdzie obok rozbrajającego uśmiechu francuskiego „kochanego łobuza” mógł wykazać się doskonałą sprawnością fizyczną - odnalazł swoje właściwe aktorskie powołanie? U początku kariery kreowano Belmondo na aktora wybitnego - ostatecznie wykształcił się u niego aktor doskonały, występujący w filmach przeciętnych. Sam Belmondo wydaje się być z tego obrotu rzeczy zadowolony: film traktuje chyba bardziej, jako karkołomną przygodę niż trybunę, z której miałby mówić prawdy wielkie i istotne.

W „Dublerze” znane ambicje popularnego „Bebela”, żeby w niebezpiecznych scenach nie korzystać z pomocy kaskaderów, doszły do zenitu. Sam gra kaskadera, który zastępuje słynnego aktora (w tej roli również występuje Belmondo) walcząc z bengalskim tygrysem, brawurowo prowadząc samochód, wreszcie - przeskakując, na wysokości dwóch tysięcy metrów z helikoptera do kabiny samolotu, który prowadzi występująca również w roli kaskadera Raquel Welch. Podobno producenci zgodzili się na realizowanie tej sceny dopiero na samym końcu, już po nakręceniu całego pozostałego materiału filmowego. Na wszelki wypadek.

Komedie Zidiego nie odznaczają się artyzmem: są płaskie, banalne i niejednokrotnie już nasza krytyka protestowała przeciwko sprowadzaniu do Polski kosztem innych, wartościowych pozycji - także komediowych - prawie całej bieżącej produkcji płodnego reżysera. W „Dublerze” Zidi nie poskąpił nam przynajmniej autentycznej emocji: ekwilibrystycznych popisów Belmondo oraz... doskonale eksponowanych kształtów Raquel Welch.

Nie liczy się w tym filmie aktorstwo, lecz sprawność fizyczna i aparycja, i przy takim właśnie założeniu Raquel Welch jaśnieje nieskazanym blaskiem, jako że jej aktorstwo nigdy nie było zbyt wysokiej próby.

W „Dublerze” Raquel może w pełni wygrywać swój atut: umiejętność łączenia „statusu” luksusowej kobiety z wrodzoną sprawnością fizyczną oraz fizyczną odpornością. Należy do tych zgrabnych, wysokich „promiennie uśmiechniętych” amerykańskich aktorek, które wspaniale prezentują się w futrach z norek, ale równie zdrowo i hoźo wyglądają w chwilę po zrzućeniu ich na ziemię z drugiego piętra, lub po wyciągnięciu ich z błotnistej sadzawki pełnej aligatorów.

Podobny nieco typ - chociaż bardziej w stylu nowoczesnej, zagadkowej, (lecz dobrze wysportowanej) femme fatale, reprezentuje inna gwiazda, Ursula Andress. Wysoka, długo - i złotowłosa blondynka, zaczęła swego czasu od ról u boku Seana Connery alias Jamesa Bonda, agenta 007, w filmach „Doktor No” oraz „Casino Royal”, aby z biegiem lat - mimo niezaprzeczalnych zdolności - dojść do takich „dzieł” jak niedawne „Wzgórza boga kanibalów”, gdzie „obnażona i przywiązana łańcuchami do słupa wzbudza ogromną nienawiść i oburzenie męskiej części publiczności do praktyk stosowanych przez ludożerców” - jak słusznie stwierdził na łamach jednego z naszych czasopism filmowych Janusz Skwara.

Ursula Andress, mając na to wszelkie dane, nigdy nie została stuprocentową gwiazdą. Może trafiała ciągle do fałszywych konstelacji, a może po prostu jest tak, że kobiety zbyt silne i zbyt odporne na działanie sił natury, cieszą wprawdzie oko mężczyzny, lecz rzadko zdarza się, żeby potrafiły podbić jego serce i umysł.

Chyba podobnie rzecz się przedstawia z Raquel Welch. Z początku wszystko szło jak należy. Dziewczyna, którą „widać było z daleka”, obdarzono autentycznym estradowym talentem tanecznym i wokalnym, już jako szesnastolatka została spikerką TV. Zdobyła następnie - w odpowiednich konkursach - tytuł Miss Fotogenii i Miss Kształtów, była w Dallas modelką, a wreszcie trafiła do Hollywood. Nakręciła około trzydziestu filmów.

My oglądaliśmy ją w jednym z pierwszych: „Milion lat przed naszą erą”, gdzie dostaje bezustannie za swoje, jako niedoszła ofiara różnych pterodaktyłów i obiekt pożądania

pitekantropusów. Epatowała również polską widownię niezwykłą odpornością na zakusy podłych rzezimieszków w westernie „Sto karabinów”, oraz jurną wesołością - w przygodach „Trzech...” a następnie „Czterech Muszkieterów”.

Jej drogi skrzyżowały się w 1971 r. z drogami Ursuli Andress na planie „bondowskiego” filmu „Casino Royal” i podobnie jak w przypadku Ursuli, kariera filmowa Raquel Welch nie zdołała się sprawdzić w stu procentach, jest znana, ale pozostaje w kręgu tych gwiazd, które jak niektórzy literaci lub dziennikarze zapowiadają się „dobrze i długo”. Do takich pięćdziesięcioprocentowych gwiazd zaliczać się będzie też z pewnością głośna ostatnio Farah Fawcett-Majors, bohaterka amerykańskich seriali detektywistycznych. Film z jej udziałem, „Aniołki Charliego”, pokazała nam cicho i bez rozgłosu 22 maja polska telewizja. Słusznie.

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 13, s. 14.